

i podchodząc do słabo migocącej latarni, spojrzął na godzinę.

— Już dziesięć ołowianych! — zawołał. — Psia-krew, jak czas wyrzywa... mały Mec uwinie się lekko...

Drugi pokiwał głową i mruknął, jakby mówił do siebie:

— Oby tylko udało mu się!... Stangret baronowej jest morowy... nie łatwo da się upić... zwłaszcza gdy ma jechać po swoją panią... i nie uda się wlać mu narkotyku do kieliszka... Zresztą mały Mec jest sprytny!

Potem, zwracając się do swego towarzysza, za-pytał:

— Zizi Muszka jest razem z nim?

— Tak, mój księciu...

— Zna swoją rolę?

— Jeszcze się pytasz... odciąga uwagę... a gdy ten się zdrzemnie, pomoże małemu Mecowi oporzą-dzić go...

Rozmawiając tak, obydwaj nieznajomi opuścili ciemny zakątek, w którym stali i skierowali się do ulicy Valois, ciągnącej się z boku Pa-lais Royal.

— Wiesz, Karolek — szepnął męż-cyzna w futrze — że dałbym piętnaście lat życia prezydenta Haiti, by być o kilka godzin starszym. Boję się, by w ostatniej chwili jaki nie-przewidziany wypadek nie zniweczył mego planu.

Drugi odpowiedział z zupełną pe-wnością siebie?

— Nie psuj sobie zółci, markizie, wszystko dobrze pójdzie...

Naraz rozmowę tę przerwał roz-legający się głośno w ciasnej ulicy tupot koński.

— To mały Mec! — zawołał tryum-fując Karolek.

Stangret jednak nie zatrzymał po-jazdu, przejeżdżając koło dwóch męż-czyzn. Zwolnił tylko biegu i lekko gwizdnął, co widocznie zostało zro-zumiane, gdyż Karolek odpowiedział zaraz w ten sam sposób.

— Dobrze idzie! — szepnął.

— Czy wie, co ma robić? — za-pytał go towarzysz. — Gdy zawołają stangreta Armanda z avenue Bosquet, zajędzie przed teatr jakby tamten, prawdziwy.

— Jeszcze się boisz?

— A czyś widział dobrze, że ba-ronowa jak zwykle w czwartek wy-jechała po obiedzie?

— Na własne oczy...

— Dobrze... nie opuściła przed-stawienia... grają „Cyrulika Sewil-skiego“... a ja lękałem się... widzisz, ja uwielbiam Beaumarchais... niema co i mówić, jest to jeden z zwiastu-nów rewolucji...

— A ja znowu wolę smutne śpie-wki miłosne... to rozczula człowieka do samego żołądka!...

— Ty nigdy, mój biedny Karol-ku, nie staniesz się dystyngowany!

— Wiem o tem, markizie; nie bywam jak ty w wysokich sferach.

— Eh!...

— Nie blaguj, kwiatku szlachecki!... Udało ci się znakomicie, z swoją fizys i cienką bielizną wszędzie mogłeś wejść!...

— Pracowałem, jak mogłem... widzisz jednak sam, że nie wiele zarobiłem, jeżeli teraz wieczorem muszę brać się do tak ryzykownych rzeczy... jeżeli nie uda mi się zagarnąć brylantów baronowej, jestem zgubiony!... Psi los!... Chodźmy, westchnął, nie czas teraz na gorzkie rozmyślenia o życiu... Na ciebie teraz kolej... to jest najtrudniejsze, lecz ty jesteś i najsprytniejszy... idź na swoje miejsce... nie zapomnij, że za małym Pałacem... Potem pędź do Menilmuche... idę spotkać się z wielkim Julkiem pod teatrem... powie mi, czy baronowa tam jest i czy ma na sobie brylanty... Do widzenia, mój stary...

— Do widzenia, markizie...

I obaj mężczyźni pożegnali się i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Podczas, gdy te dwie niewyraźne postacie rozmawiały o pięknej Rosyance w sposób tak złowrogi dla niej, przez dziwny zbieg okoliczności dwóch in-nych mężczyzn nie spuszczało jej z oka w sali Ko-medyi Francuskiej. Byli to agenci Brisemiche i Touffe, którzy mieli polecone sobie zważać na najmniejsze jej ruchy i gesty. Ulokowani w pierwszym rzędzie

na galerii, mieli minę zwykłych mieszczan, słucha-jących z uwagą granej sztuki, na chwilę jednak nie odwracali spojrzenia od swej ofiary. Naraz Brise-miche wychylił się naprzód. Do loży baronowej wszedł attaché ambasady, kapitan Fraskopelly. Skłonił się z uszanowaniem przed nią, gdy mu poda-wała z uśmiechem rękę do pocałowania.

Agent widział dokładnie, jak attaché wojskowy wsunął dyskretnie do ręki baronowej bilecik, który ona zgrabnie, zasłaniając się wachlarzem, schowała za gors.

— Co to za papier?

— Może to zwykły liścik miłosny! — pomyślał agent.

Zrobił znak swemu koledze i w czasie antraktu wyszli na naradę do fumoiru.

Czy przy wyjściu poprosić baronową, by się udała z nimi na policję, gdzie ją zrewidują i zaraz uwolnią z wielkimi przeprosinami? Nie śmieli przy-jąć odpowiedzialności za to na siebie. Jeżeli się mylą, dzienniki nazajutrz podniosą straszny hałas, a cała wina spadnie na nich.



Para ta stanowiła z sobą dziwny kontrast.

Gdy Brisemiche wrócił do sali, Touffe pobiegł do telefonu, by rozmówić się z samym prefektem.

Takie aresztowanie — usłyszał w odpowie-dzi — jest niemożliwe... może to jednak jest już do-bry ślad... Śledzić baronową, czy nie spotka się z attaché w jakim miejscu, które należy znać.

Baronowa przez snobizm nigdy nie była na ostatnim akcie. Natychmiast więc po spuszczeniu kurtyny po trzecim akcie, podniosła się i opuściła swą lożę.

— Stangret Armand z avenue Bosquet! — rze-kła portyerowi, by zawezwał jej pojazd.

W minutę potem karetka zajęchała przed przed-sionek teatru. Baronowa owinięta w swe wspaniałe futro, ani nie spojrzała na stangreta, lecz rzekła:

— Do domu, Armandzie!

Konie w tej chwili ruszyły z miejsca szybkim klusem i pojazd potoczył się w stronę ulicy Rivoli.

Brisemiche i Touffe wyszli jednocześnie z baro-nową i gdy jeden z nich słuchał adresu, jaki da-wała stangretowi, drugi pobiegł po dorożkę, by je-chać w ślad za nią.

W chwili tej jednak przejeżdżał wolno samo-chód, którego szofer odezwał się do Touffa:

— Dobry samochód, czy można służyć?

Był to jeden z tych szoferów, którzy na własny

rachunek wynajmują przechodniom samochód swego pana, gdy wiedzą, że ten nie będzie go potrzebował.

Touffe od razu domyślił się tego.

— Jazda! — rzekł — służba policyjna... w razie jakiej krętaniny w tej chwili pod klucz... będzie to dobra nauczka!...

Tymczasem karetka baronowej po minięciu placu Zgody jechała wzdłuż Sekwany i kierowała się na Cours-la-Reine. Nagle w jakimś ciemnym zakątku rozległ się świst i stangret natychmiast wstrzymał konie. Na rozkaz Brisemicha samochód, który jechał cicho o kilka metrów z tyłu, z zgaszonymi latar-niami, również się zatrzymał. Wtedy mimo ciemno-sci agenci dojrżeli wysuwającą się z cienia drzew postać jakiegoś mężczyzny, który otworzył drzwiczki karety. Równocześnie ciszę nocną przerwał krzyk kobiecy.

— W trop za nimi — rozkazał Brisemiche — a nie tracić ich z oczu — zwracając się zaś do Touffa, dodał — prefekt miał dobry nos... mamy ich teraz!...

Stangret baronowej zawrócił z początku na tę samą drogę, po której jechał.

Po minięciu jednak placu Zgody, szybko przebył bulwary i pomknął ku Bastylii, nie wiedząc wcale, że jest śledzony. Oba też te pojazdy, karetka i samochód dojechały bez prze-szkody aż do ulicy Drouot. Tutaj je-dnak zaszedł wypadek, którego nie przewidzieli agenci.

Naraz za kareta wyłonił się poli-cyant i kazał wstrzymać samochód.

— Proszę nas przepuścić! — za-wołał Touffe.

— Policya! — nalegał Brisemiche.

Policyant nie raczył nawet odpow-iedzieć. Znał się już na tych ka-wałach, nieraz mu je urządzano.

Brisemiche wyszedł z samochodu i zaczął tłumaczyć:

— Mój przyjacielu, śledzimy bar-dzo ważną osobę, a ty nam przeszkadzasz!... Przecież to bez sensu!

Policyant rzucił na nich okiem.

Ci ludzie, wyelegantowani jak do teatru i w takim wspaniałym samo-chodzie — szpicle? Wzruszył ramio-nami; nie da się na to wziąć...

Przytem szyderczy uśmiech szo-fera, który radował się z przygody swych pasażerów, utwierdził go w tem mniemaniu. Tymczasem karetka baro-nowej szybko oddalała się.

— Ależ do stu tysięcy dyabłów — klął zrozpaczony Brisemiche, szuka-jąc swej legitymacyi, by przekonać upartego policyanta — oni nam umkną! Ach! Zapłaci mi pan za swój głupi upór!...

Policyant jednak pozbył się wre-szcie swej flegmatyczności i krzyżu-jąc z powagą ręce na piersiach, za-wołał:

— Długo będzie jeszcze tego ga-dania?... Kiedy koniec?... Jeżeli bę-dziecie w dalszym ciągu kręcili, za-prowadzę was za karę pieszo na po-licję...

Przez ten czas mężczyzna jakiś, który oczekiwał, aż ulica będzie wolna, by przejść na drugą stronę, przypatrywał się tej scenie. Poznał zaraz Brisemicha i Touffa, mieszać się jednak do sprzeczki uznał za bezpożyteczne. Uparty policyant i jemu nie uwierzy, a tymczasem należało konie-cznie śledzić znikającą w dali kareta. Pozostawiając tedy agentów kłócących się z policyantem, skiero-wał się do werendy, znajdującej się przy kawiarni „Cardinal“, przy której stał rower. W mgnieniu oka odsunął go na bok, wskoczył na niego i po-mknął za kareta. Przy bulwarze strasburskim do-gonił go, czyli jak mówi się w żargonie cyklisto-skim, „przyłepił się“ do niego.

Tym nieznajomym, którego wypadek uczynił świadkiem kłopotu agentów, był inspektor Lapipe. Podczas tych zajęć człowiek, który na Cours-la-Reine dostał się do wnętrza karety, pochylał się cią-gle nad baronową, leżącą na siedzeniu z głową w tył odrzuconą i przykładał ucho do jej piersi, by zba-dać, czy serce jeszcze bije.

— Obym tylko nie za dużo dał jej chlorofor-mu! — szeptał do siebie. — A jeżeli ona wyciągnie się na mych rękach!... Byłby to podły interes!...

(Ciąg dalszy nastąpi).